

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.

Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 400.000 mk.

1/2 " — 200.000 "

1/4 " — 100.000 "

1/8 " — 50.000 "

Hokus, pokus...

*Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.*

Zastrzedz się na wstępie musimy, że pisząc o odczytach b. Naczelnika Państwa Polskiego, które zostały przez niego wygłoszone w Wilnie, posługiwać się będziemy tylko sprawozdaniami, zamieszczonymi w „Słowie“ wileńskim i warszawskim „Kurjerze Porannym” oraz ustnymi relacjami osób wiarygodnych, ponieważ redakcja nasza, zgodnie z panującą obecnie w Wilnie modą lekceważenia prasy krajowej, nie otrzymała biletu wstępu na te odczyty, narażać zaś swych sprawozdawców na tego rodzaju niespodzianki, jaką spotkała współpracownika „Dziennika Wileńskiego”, oczywiście nie uważała za możliwe.

Mimo jednak braku dokładnego tekstu przemówień p. Piłsudskiego, kilka najważniejszych momentów w nich zostało zreferowanych z dostateczną ścisłością i nie budzą żadnych wątpliwości. Inna rzecz, gdyby chodziło o wydanie sądu o tonie i charakterze odczytów w ich całości. Pod tym względem panują wśród słuchaczy dość rozbieżne opinie. Gdy jedni nie widzą nic niewłaściwego w używaniu a raczej nadużywaniu przez prelegenta trywjalnych zwrotów i określeń, inni — a mamy na myśli wyłącznie zwolenników i wielbicieli osoby „Komendanta” — są tem mocno zgorzeleni. Taka sama rozbieżność poglądów panuje również w stosunku do ujawnionego przez prelegenta rozdrażnienia oraz zbyt wysokiego mniemania o swych zasługach i zaletach swego charakteru. Ale są to kwestje, mało nas interesujące, o których nie mamy zamiaru rozprawiać, pozostawiając je całkowicie łasym na podobne sensacje reporterom pism endeckich.

Sensacją zaś istotną było przyznanie się p. Piłsudskiego, że nie jest i nie był bynajmniej zwolennikiem koncepcji federalistycznej w stosunku do Litwy i że we wszystkich jego poczynaniach przyświecała mu jedna tylko myśl przewodnia: przekonania świata, że Wilno to nie Rosja. Co prawda, ludzie, umiejący krytycznie patrzeć i myśleć, oddawna już przestali żywić złudzenia co do rzekomych zamierzeń federacyjnych p. Piłsudskiego. Świadczył przeciw temu cały szereg faktów, jak utworzenie Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, złożonego z ludzi, dla których wzorem były metody rządzenia carskiej Rosji na „okrajnach”, inspirowanie gen. Żeligowskiego przez p. Pristora (najoczywiściej według instrukcyj Belwederu) w duchu polityki bezwzględnie aneksyjnej, a wreszcie najbardziej znamienity objaw: zmiana frontu u demokratów wileńskich i głosowanie ich za wcieleniem Wileńszczyzny wbrew swemu programowi, niewątpliwie na komendę ubóstwianego przez nich „Dziadka”.

Ponieważ jednak z drugiej strony Kowno nie pozostało ani przez chwilę poza obrębem planów belwederskich (nieudany zamach peowiacki i projekty Hymansa), należy więc przypuszczać, że p. Piłsudski wyraźnej koncepcji co do Litwy nie posiadał i że prowadził politykę od wypadku do wypadku, rachując nie tyle na swoją *żelazną wolę*, ile na szczęśliwy traf i sprzyjający uśmiech losu.

Rzecz charakterystyczna, że w swych odczytach p. Piłsudski pominął całkiem milczeniem kwestję stosunku polityki polskiej do rządu litewskiego, jak również całą najważniejszą dziedzinę zagadnień narodowościowych na terenie Litwy i Białorusi. Mówił jedynie o Wilnie i to wyłącznie polskiem Wilnie, tak jakby Wilno istniało samo w sobie, a nie było stolicą obszernego kraju o niezwykle skomplikowanej strukturze etnograficznej i społecznej.

To dyplomatyczne pominięcie drażliwego tema-

tów w zestawieniu z wypieraniem się swych przekonań federalistycznych czyni wrażenie, że w danym wypadku chodziło prelegentowi głównie o odzyskanie zachwianej popularności w szerokich kołach, nastrojonych szowinistycznie, które pod wpływem nie przebierającej w środkach agitacji endeckiej zaczęły tracić zaufanie do „narodowej” prawomyślności autora odezwy do „mieszkańców byłego W. Ks. Litewskiego”.

Odezwa ta, która wywarła tak dodatnie wrażenie w naszym kraju i zagranicą, a z taką namilętnością była atakowana przez endecję, jak się okazuje z obecnych wynurzeń p. Piłsudskiego, powstała zupełnie przypadkowo. Autor jej nie wiedział nawet jak ją zatytułować i długo łamał sobie głowę, nim przypomniał o istnieniu „za czasów Rzeczypospolitej” W. Ks. Litewskiego...

Bynajmniej mu wszakże nie przyświecała przystem myśl wskrzeszenia zamarłych tradycji państwowych, chodziło jedynie o podkreślenie wobec świata, że ziemie te nie stanowią integralnej części Rosji. Rosja i tylko Rosja konkurowała z Polską w swych pretensjach do Wilna i nawet po traktacie sowiecko-litewskim z 12 lipca 1920 r. oraz umowie suwalskiej, cień wielkiej Rosji zakrywał przed oczami p. Piłsudskiego młode państwo litewskie... Czytając sprawozdania z odczytów ex Naczelnika Państwa odnosi się wrażenie, że i wyprawa gen. Żeligowskiego była przezeń aranżowana nie przeciwko Litwinom, lecz przeciw nieokreślonym „czynnikom zewnętrznym”, wśród których Rosja i jej przyjaciele odegrali rolę dominującą.

Jeszcze większą wszakże sensacją polityczną

było otwarte przyznanie się p. Piłsudskiego, że gen. Żeligowski działał na wyraźny jego rozkaz i w ścisłym z nim, jako Naczelnikiem Państwa, porozumieniu. Podobno nawet p. Piłsudski oświadczył to swego czasu bez ogródek ambasadorom wielkich mocarstw w Belwederze. Dla nikogo to zresztą nie było tajemnicą. W jakim więc celu przez długi czas odegrano starannie komedję z „buntem” wojsk gen. Żeligowskiego? Po co były te wszystkie udawania i kłamliwe komunikaty? Dla ratowania pozorów wobec „świata zewnętrznego”? Jakże mógł w takim razie wówczas jeszcze przyznawać się Naczelnik Państwa do swej dwuznacznej roli? Jakkolwiekbyż obecne *publiczne* już wyznanie byłego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, że nie mogąc jawnie łamać przyjętych przez państwo zobowiązań, uciekł się do podstępu, zgoła zresztą zbytecznego, bo ten nikogo nie zwiódł, jest tak wyjątkowym i niezrozumiałym pod względem swych intencji, że pozostaje przypuścić tylko jedno: chęć popularności i taniego poklasku tłumy przeważała względ na interesy państwa, bo nie ulega przecież wątpliwości, że rząd litewski nie omieszka skorzystać z powyższego oświadczenia, jako druzgoczącego argumentu w swej wytrwałej kampanji dyplomatycznej przeciwko nierzetelności polityki polskiej.

Występy p. Piłsudskiego w Wilnie rozwiały resztę złudzeń, jakie można było jeszcze żywić co do jego osoby, jako polityka i opatrnościowego męża stanu. Posądzany przez endeków o ukryte ambicje separatystyczne, adorowany przez lewicę polską, jako symbol idei demokratycznych, uchodzący doniedawna w oczach „mniejszości narodowych” za

Odrębności prawosławia na Litwie i Białorusi.

Zanim jakiś temat nie zostanie *ex professo* opracowany, skrętnie należy notować każdy doń przyczynek. Tak właśnie rzecz się ma z prawosławiem na Litwie i Białorusi, gdzie od wieków nie przestaje ono ujawniać pewnych odrębności, uzasadnionych etnologicznie i społecznie.

Prof. Stanisław Smolka, który z Krakowa nieraz, dla badań naukowych (np. pisząc swą monografię o ministrze Lubeckim), zjeżdżał na Litwę, czasu wojny wydał cenną publicystycznie rzecz p. t. „*Die reussische Welt*” (Wien, 1916), gdzie pisze: „niezbędnem jest przeprowadzić ścisłą różnicę pomiędzy religijnością Wielkorusa a Małorusa (i Białorusa *przyp. autora*). Mocna religijność Wielkorusów wiąże się istotnie z zewnętrzną stroną kultu: ogromne znaczenie, jakie Wielkorus przypisuje najmniejszym drobiazgom i religijnym ceremonjom, wynika z istoty jego poglądu na nadprzyrodzoną i prawdopodobnie zależy od etnicznego charakteru Moskwicynów”. (str. 153).

Według opinii *Mackensie Wallace*, ceremonie religijne w oczach Wielkorusa tworzą niejako cudowny system „zaklęć”, przy których pomocy człowiek jest w stanie poniekąd zmusić bóstwo do wysłuchania

modłów jego. Stąd owo ślepe przywiązanie do formy, do litery prawa... Upatrują w tem pewny wpływ plemion fińskich, z którymi Wielkorus wcześniej się zetknął. Uczucie stanowi u Wielkorusów bardzo znaczną część tego, co się pobożnością ludu zowie (przepych kultu, posty, pielgrzymki i inne). Równie głęboko religijną jest dusza Małorusa, a szczególnie tak srodze smaganego przez los Białorusa, jednakże rodzaj ich religijności jest wręcz odmiennym. Oczywiście nie brak tu również zabobonności, ale ona na duszę tych szczepów wpływa głównie urokiem zawartej w niej poezji, nie zespalając się tak powszechnie a ściśle z samą wiarą. Zewnętrzna strona religii też działa na Małorusa i Białorusa, jednak inaczej i mniej niż na ich wschodniego pobratymca. Dlatego Małorus, i Białorus nawet będąc w rzeczach wiary równie nioswieconymi, jak Rosjanie, są głębszymi chrześcijanami od nich.

Słusznie książe Krapotkin nazywa Małorusów *więcej zachodnioeuropejskimi* w swych wierzeniach, pojęciach, praktykach..., co z pewnemi poprawkami można powtórzyć o spóźniającym się pod każdym względem Białorusinie. Wsutek zetknięcia się z Moskwą, wschodni Małorus i takież Białorus nasiąkli pod niejednym względem specyficzne wielkoruskie prawosławie. Gdyby nie to, ich ortodoksja tak z ducha, jak formy stanowiłaby w łańcuchu cerkwi narodo-

szczerego wyznawcę hasła „wolni z wolnymi, równi z równymi“, w świetle ostatnich swych wynurzeń stanął dawny bojownik P. P. S. i twórca legionów, jako popularyzator polityki faktów dokonanych, wierzący naiwnie w siłę bagietek, z zamiłowaniem rozprawiający o militarystyce i psychice generałów, a całą dziedzinę zagadnień społeczno-politycznych traktujący jako „*hokus, pokus, fidrygałki*“, że użyjemy tu wyrażenia, którem tak często podobno posługiwał się prelegent.

Istotnie, wobec sprzeczności, chwiejności i mętności w czynach i słowach p. Piłsudskiego tem mianem tylko można określić całą jego politykę w stosunku do Wilna i Litwy.

A był czas, gdy wierzono powszechnie w jego misję dziejową!

Pouczające analogie.

Rzeczą nader pożyteczną dla czytelnika wileńskiego jest zaznajamianie się z istotą kwestyj narodowościowych gdzieindziej. Metoda porównawcza jest najbardziej pouczającą. Słusznie tedy, p. Cz. J. swój artykuł o kwestji flamandzkiej w „Słowie” rozpoczyna słowami: *Tak na pozór daleka od nas — a głębokimi analogjami tak bliska!* Odczuwając te podobieństwa, autor artykułu nie ustrzegł się jednak w nim kilku poważnych błędów. Piętnując na wstępie nacjonalizm jako współczesną plagę egipską (dlaczego nie odrę, jaką przebywa każdy rozwijający się organizm?), p. J. tam, gdzie można byłoby oczekiwać ostatecznego w tej materji sądu, cofa się na arcybezpieczne pozycje. (*Nie sięgajmy aż w głąb*

kwestji o wiele szerszej...) i jakby milcząco godzi się z koniecznością istnienia nacjonalizmu na świecie. Tłumaczy cokolwiek p. J., że nie jeden on nie odważa się potępić nacjonalizmu całkiem, chociaż tylu umie mu szpetnie przymawiać. Jest to objaw często u nas spotykany obok drugiego, że nacjonalizm złym zawsze jest tylko u sąsiada, natomiast stale dobrym jest u nas.

Największego błędu dopuszcza się p. J., gdy przedstawia kwestję flamandzką jako dopiero co powstałą. Tak może sądzić tylko turysta Tymczasem ludzie, co w Belgji przebyli kilka lat, jeszcze na długo przed wojną widzieli już wcale mocne zręby ideologii narodowej Flamandów. Jeśli o tem w kraju nic my nie wiedzieliśmy, to dzięki znacznej od nas odległości Belgji i nielicznym z nią do niedawna stosunkom. Narodowe i językowe swary i waśnie dobrze znane były już wtedy, chociaż się toczyły w formach mniej ostrych. O ówczesnym wewnętrznym antagonizmie Walonów i Flamandów, doskonale świadczy fakt, że już wtedy zarysowały się wyraźne sympatje jednych i drugich: gdy Walonowie, będąc stroną kulturalnie przeważającą, sympatyzowali więcej z Polakami, Flamandowie bardziej darzyli swą życzliwością Litwinów, którzy na sobie też doświadczyli skutków kulturalnej przewagi narodu polskiego. Ocena przez Flamandów sytuacji przedwojennej na Litwie i Białorusi uderzała swą niezwykłą trafnością.

P. Cz. J. dalej pisze: „Flamandzi i Wallonowie żyli z sobą zawsze w najprzykładniejszej zgodzie. Górą brała francuzczyzna—lecz nikomu nie przychodziło do głowy poczytywać tego za objaw choćby tylko... niepokojący“!

Skądże ta pewność? I czy można tego rodzaju „zgodę“, wynikającą z braku uświadomienia narodowego, poczytywać za stan idealny? Dotychczas tylko cygan przysłowiowy umiał się wznieść na wyżyny takiego „altruizmu“. Jakby szanowny autor

wych, ogniwo najbardziej zbliżone do kościoła katolickiego.

Etnologiczne wpływy, oddziaływując na wewnętrzne życie prawosławia wśród Białorusów wschodnich, znajdują jednak współczynnik we wpływach historycznych, wynikających z wielowiekowego sąsiedztwa z Europą Zachodnią, w danym razie z Polską. Atoli badacz psychiki religijnej w narodzie białoruskim strzedz się musi wszelkich uogólnień nie podnosząc zjawisk pojedynczych do rzędu typowych. Między innymi wpływ katolickiego Zachodu uwydatni się w dziecięco prostych melodjach białoruskich i małoruskich pieśni kołędowych, tak różniących się sposobem wykonania od pewnego powagi śpiewu liturgicznego Cerkwi prawosławnej. Razem z temi pieśniami, weszły w zwyczaj u prawosławnych na Białą i Małorusi w okresie Bożego Narodzenia t. zw. szopki. (Prof. D-r F. Haase, „*Die religiose Psyche des russischen Volkes*“. Leipzig n. Berlin 1921. Autor czasu okupacji niemieckiej był na Białorusi i pilnie studiował kraj i ludzi).

Prócz przyczyn etnologicznych i społecznych, oddziaływały w duchu odrębności również w silnym stopniu, czynniki historyczne, o których pisze obszernie pastor N. Bonwetsch, profesor uniwersytetu w Getyndze w nowej pracy, p. t. „*Kirchengeschichte Ruslands im Abriss*“ (Leipzig 1923).

Na Białorusi życie religijne za swe ośrodki miało ongiś Turów w ziemi Dregowiczów i Połock, stolicę Krywiczan (str. 6). Mimo niechęci metropolity moskiewskiego Piotra do uznania zamodzielnosci metropolji poza granicami państwa wielkich księstw moskiewskich, w r. 1316, za rządów jeszcze Gedymina, powstaje taka właśnie metropolja w Litwie, w której skład przez czas pewien wchodził nawet Halicz. Bez skutku papież Klemens V zabiegał wtedy o unję kościołów na Rusi. Ze względów politycznych, długim nie był jednak byt metropolji litewskiej, a do powstania metropolji galicyjskiej nawet nie doszło. W. Księstwo Moskiewskie nie dało łatwo ze wygraną i w ciągu dalszym usiłowało narzucać Litwie na metropolitów swych kandydatów. Tak zabiegał o tę godność niejaki Teodoret, przyjmujący święcenia u patriarchy w Trnowie, atoli uparty Olgierd przeprowadził swego kandydata Romana, potwierdzonego też przez patriarchę w Konstantynopolu. Po śmierci Romana (1361) Litwa od r. 1364 cerkiewnie znów staje się zależną od Moskwy, lecz w r. 1361 otrzymuje metropolitę w osobie Bułgara Cyprjana, który od r. 1375 uznany też został i przez metropolitę moskiewskiego. Znowu za Witolda przez czas niejaki Litwa cerkiewnie usamodzielniała się od Moskwy i miała na metropolitalnym tronie Grzegorza Cembłaka, spokrewnionego z owym Cyprjanem a znanego z dzie-

się wyraził o swych rodakach z zaboru pruskiego, gdyby ci poddawali się germanizacji dobrowolnie dla milej zgody jedynie? Jakże głęboko jeszcze p. Cz. J. tkwi w typowo szlacheckiej ideologii partykularza oszmiańskiego!

... *Nikomu nie przychodziło do głowy...* Nieprawdą, jak to brzmi rozczulająco?!

P. Cz. J. oczywiście jest po stronie Wallonów, jednakże rzeczywistość zmusza go oddać słuszość Flanomom, o których mówi: „Najwybitniejsi przedstawiciele literatury belgijskiej — francuskiej — są do dziś dnia jeżeli nie rodowici Flamandowie, to flamandzkiego pochodzenia. Tak z dawniejszych de Coster, tak z tegoczesnych np. Eeckhond, Rozenbach, Verhaeren. Sam przecie wielki Maeterlinck, sława i chluba Belgii, urodził się w Gandawie (na etnograficznym terytorjum flamandzkim), z której dziś Flamandowie usiłują wygnać (?) do cna (!) język francuski, przepyszną mową najprzedniejszych utworów Maeterlincka“. Trudno o lepsze świadectwo dla olbrzymich a tylko napoczętych zdolności narodu flamandzkiego, występującego dziś na widownię świata. Może to tylko zachęcić go do ujawnienia światu geniusza swego — w starej, szacownej a pięknej szacie mowy flamandzkiej. Wprawdzie ma to być, zdaniem p. Cz. J., język *kiepski, skażony...*, ale troskę o to możemy pozostawić już samym Flanomom. Ta nadmierna troska o dzwiczność i wyrobienie mowy obcej jest specyficznie wileńską!

Trudno zaprzeczyć, że podczas okupacji niemieckiej stworzone były w Belgii warunki bardziej sprzyjające dla rozwoju ruchu flamandzkiego, a jeszcze trudniej rzucić kamieniem potępienia na Flanomów za wykorzystanie sprzyjających warunków i żywiołową ich prężność. Toć i rzeka, gdy wyjdzie przypadkiem z cieśniny na teren równiejszy, wnet rozlewa się szerzej. Nie trzeba ani dopatrywać się zbyt wielkiej miłości ze strony Flanomów ku Niemcom, ani demonstracyjną akcją głośnego *Rat von*

Flandern utożsamiać z opinią całego społeczeństwa. Lata 1916 — 1918 były okresem, kiedy *wszystkie* mniejsze narody świata uznały za bezwzględnie słuszną podnieść głos w obronie swych praw dotąd zapoznawanych. Tylko na dob o Niemiec zaliczonym być powinno to, że — mniejsza o pobudki — nie tamowały i nie gnębiły rozwoju Flamandów, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców...

Krzywdy swe Flamandowie najlepiej znali sami i nie potrzebowali dowiadywać się o nich dopiero z propagandowych broszur niemieckich, jak pisze p. Cz. J., który sam czerpie z nich informacje zamiast przeczytać choć jedną kartkę w duszy samostnego budzącego się do życia narodu. A przy omawianiu kwestyj narodowych ostatnie jest warunkiem koniecznym, prawdziwym *sine qua non*.

„*Najtrudniejsza była sprawa ze... stworzeniem flamandzkiego języka literackiego. Flamandzki język literacki nie istniał dotąd i nie istnieje do dziś dnia*“ (słowa p. Cz. J.).

Ależ to jakby żywcem wyjęte z artykułu p. J. O.! Trzeba tylko zamiast *flamandzki* napisać *białoruski*, a złudzenie będzie całkowitem. Tak, nacjonaliści polscy w swej beznadziejnej walce ze zwalczaniem odrodzenia narodów ukraińskiego, litewskiego i białoruskiego wytworzyli już gotowe stereotypy, któremi się posługują sakramentalnie. Dwóch zdań niema, że język flamandzki, bardzo pokrewny holenderskiemu, rychło przestanie być „kiepskim a skażonym“ i z powodzeniem zastąpi francuski dla flamandzkiej części Belgii (niepotrzebnie p. J. insynuuje Flanomom nieistniejący zamiar rozciągnięcia ich języka na Belgję *całą!*) Jeśli chłopski język Finów w ciągu pół wieku uczynił ewolucję, dlaczego nie zdoła tegoż bardziej wyrobiony flamandzki?!

Od rzeczy ogólnych przechodzi p. Cz. J. do poszczególnych i, mówiąc o projektowanym w Gandawie uniwersytecie flamandzkim, przytacza zdanie pewnego Flomanda, że pobyt w tej uczelni niefran-

łałości pisarskiej. Po jego śmierci jednak udało się metropolicie moskiewskiemu Focjuszowi ponownie się wkupić w łaski Witolda. Nie było jedności i dalej: Unja Florencka nie napotkała w Polsce i Litwie oporu, nie przyjęta została w Moskwie.

Nieprzyjęcie Unji Florenckiej i uniezależnienie się Moskwy od Konstantynopola doprowadzić musiało do rozluźnienia więzów między Cerkwią prawosławną w Litwie a Moskwą. Jeszcze czas jakiś metropolita moskiewski Jonasz rządził prawosławnymi na Litwie, lecz w r. 1458 papież w porozumieniu z lzydorem oddzielił te tereny od Moskwy, a wygnany z Konstantynopola unicki patriarcha Grzegorz Mamas wyświęcił opata Grzegorza na metropolitę „Kijowa, Litwy i całej dolnej Rosji“. Dziewięć eparchij uległo Grzegorzowi. Próby Moskwy oderwania ich speszły na niczem. Interes polityczny Polski i Litwy przeszkadzał uzależnieniu cerkwi w ich kraju od władzy rezydującej w Moskwie. Jednak Unja Florencka formalnie dała się przeprowadzić *tylko* w Galicji, nie zaś w całej Polsce, nie mówiąc już o Litwie i Białorusi.

W r. 1469 widzimy, jak ten Grzegorz szuka nawiązania stosunków z patriarchą w Konstantynopolu, który go odsyła znowu, lecz bezskutecznie do Moskwy. Pewne jednak tendencje unjonistyczne Cerkiew prawosławną na Litwie i Białorusi, będąc wystawiona na różne wrogie napaści, ujawniała wy-

rażnie, jak tego dowodzi list następcy Grzegorza na katedrze metropolitalnej Mizaela do pap. Sykstusa IV z apoteozą jego godności: *Chwalimy Ciebie, chwalonego przez wszystkich ludzi, błogosławimy Ciebie, pobłogosławionego przez Najwyższego, uwielbiamy Ciebie, którego całe chrześcijaństwo uwielbia* i t. d. Podobnie pisał do pap. Aleksandra VI metropolita Józef Bułgarynowicz. Spodziewano się oczywiście przez bezwzględne uznanie prymatu papieża, pozyskać sobie względy króla polskiego, jak również otrzymać papieskie oświadczenie, przychylne doktrynie i obrzędowi Cerkwi prawosławnej.

Zabiegi o unję pozornie nie wywołały w Rzymie żadnego echa, a od r. 1503, gdy Polska i Litwa z Moskwą zawarły pokój zabrakło głównych pobudek do ich ponawiania. Wielki książę litewski Aleksander w r. 1499, a Zygmunt I w r. 1511 potwierdzają nietykalność praw prawosławia w W. Ks. Litewskim. Wśród prawosławnych nie brakło materjału, który gdzieindziej umiejętnie na swą korzyść wyzyskała reformacja. Z pięciuset rodzin miejscowej szlachty prawosławnej, tylko *szesnaście* zostało całym wolnych od protestantyzmu!

Dzieje późniejsze prawosławia są bliższe i lepiej nam znane.

Jadźwing.

cuskiej byłby zamknięciem przed nim wszelkiej kariery!

Mocny ten argument darujemy całkiem p. Cz. J.

Sympatje belgijskich Flamandów do Holendrów, których ryczałtowo a błędnie nazywa p. J. ewangelickimi, ma być jedną z „najciekawszych ironij w dziejach nowożytnych“. Zawarty tu kontrast pierzcha jednak, jeśli się tylko zważy, że cała południowa Holandia jest katolicką, a liczba katolików w tem małym państwie wynosi dziś przeszło 2¹/₂ miliony, co stanowi z górą 2/5 całej ludności! W ostatnich dziesiątkach lat, katolicy holenderscy zorganizowali się w potężne stronnictwo kulturalno-polityczne, które duży dziś wpływ wywiera na sprawy państwowe, przez swój klub parlamentarny i ministrów (niedawno prezesem ministrów holenderskich był katolik, również czas pewien fotel ministerjalny zajmował w nim pewien kapłan katolicki — w kraju o większości kalwińskiej!). W r. 1922 katolicy holenderscy zapoczątkowali stworzenie wolnej wszechnicy katolickiej, na wzór istniejących w Lowanium, Fryburgu, Medjolanie... Stąd nawet nowe hasło w świecie katolickim: *Batavia docet!* Flamandowie i katolicy Holendrzy, sąsiadując ze sobą i posługując się bardzo pokrewną mową, rozumieją się doskonale i żywią na wzajem wielką sympatję.

Pojednawcza akcja kard. Merciera, podejrzewanego nie bez racji o pewną predylekcję do Walońców, nie mogła *eo ipso* wydać poważniejszych wyników, tem bardziej że była spóźnioną. My tu w Wilnie również nieraz byliśmy świadkami prób żegnania tego lub innego sporu narodowościowego, prób nieudanych czy dla braku bezstronności, czy też wskutek opóźnienia się. Ach! te opóźnienia! Rodzą one niekiedy nawet rewolucje...

Rozumiemy dobrze, dlaczego Flamandom tak chodzi o Gandawę, jako siedzibę ich uniwersytetu: potrzebny im ośrodek kulturalny, a takim oczywiście najlepiej może być dla nich stolica Flandrii (niegdyś hrabstwa). O takież ośrodki gdzieindziej ubiegają się również Litwini i Ukraińcy galicyjscy...

Pełne idealizmu i zapału potykania się dzielnych Flamandów o przynależne im prawa jest niezmiernie pouczającym przykładem procesu różniczkowania się narodowościowego, który się rozpoczął w XIX wieku i którego końca jeszcze nie widać.

Latovicus.

WOLNA TRYBUNA.

Pod nową maską.

P. P. Paweł Dmucha, St. Bogorja, Baltazar Białopolski z Czarnej Rusi, S. Jaks i inni z pod sztandaru p. J. Obsta uważają za swój święty obowiązek, co pewien czas, wierząc kogoś z tych, których zaliczają, mylnie zresztą a niezasłużenie, do rzędu „szczególnych obrońców Litwy i Rusi Białej“. Przyzwyczajeni przez długie lata napadać na nich, niezdolni są oni zrozumieć, że ktoś, nie należąc do jakiejś jednej narodowości wyłącznie, a należąc *razem* do kilku, nie wyłączając polskiej, może i śmie przeciwstawiać się ich brzydkiemu nałogowi oczerniania Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Żydów! Wymienieni wyżej, najbliżsi współpracownicy p. J. Obsta zdolali dawno wyplenić, niby chwast szkodliwy, ze swej duszy ele-

mentarne poczucie sprawiedliwości, mówiące nam, że pod słońcem jest też miejsce dla innych jeszcze narodów oprócz Polaków. Katolickość zaś ich coraz bardziej staje się czczym wyrazem, niejako objawem szczątkowym, który — rychło patrzeć — zaginie pod naciskiem wszechwładnego dziś nacjonalizmu, będącego jedynym zbawieniem dla świata i Polski.

Otoż świeżo notujemy taki głos p. S. Jaks, nowego towarzysza chorągwi p. J. Obsta, debiutującego przed tygodniem czy dwoma w naszym arcyendeckim świstku, o którym najzupełniej słusznie powiedziało w tych dniach „Słowo“, że jest redagowany *klamliwie a po prostaku*. Dla odmiany zaś treści i stylu, autor wywodów endeckich niespodzianie zaczyna coś prawić, że Biała Ruś „nie jest jeszcze dojrzałą koncepcją“, „przynajmniej w chwili obecnej“ i stanowi „delikatną robotę“. Czyżby neofita polski (ludziska w Wilnie jeszcze pamiętają, jak ś. p. rodzic p. S. Jaks wołał na wiele obiecującego synalka: *Stasiuk!*) i endecki (wcale niedawno dzisiejszy współpracownik „Dziennika Wileńskiego“ wypierał się nawet łączności z endecją) chciał doprawdy zrewidować dziś swe ultra-endeckie stanowisko w kwestji białoruskiej? Tobyż był nabytek cenny pozyskać tak *kulturalne* poparcie dla pracy białoruskiej!.

Pierwiej niż udzielać „tygodniczkom“ nieproszonych rad, wypominając nawet *szesnastkę*, pisarz endecki zrobiłby lepiej pouczając tak bliskiego mu duchem p. J. Obsta, o niewłaściwości kłamliwej a prowokacyjnej korespondencji, poświęconej przed paru miesiącami osobie ks. Fr. Bobnisa. Dlaczego wtedy milczał p. S. Jaks? Dlaczego nie napiętnował mianem „ulicznych conceptów“ ciężkiego szwabskiego dowcipu p. J. O.? Czy nie była tylko wydrukowaną owa korespondencja za wiedzą i błogosławieństwem p. S. Jaks?... Czy przywilej nietykalności przysługuje pod tym względem jedynie Polakom, którzy zato mogą używać, ile chcą, przyjemności szkalowania kleru kowieńskiego przed Rzymem i Europą?! Podjęliśmy tylko rękawicę przez was rzuconą. Nie sądzcie innych, jeśli nie chcecie, aby nas sądzono. P. S. Jaks naszym na statystyce opartym dowodom, że nie jest tak już źle z kulturalnością kleru litewskiego i białoruskiego, nie jest prosto w stanie przeciwstawić bodaj żadnego (dosłownie) swego argumentu! Niechże, proszę udowodni, że kler polski u nas posiada większy odsetek jednostek z wyższem wykształceniem teologicznem lub filozoficznem. Niech wymieni też choć jedno nazwisko profesora akademickiego w Petersburgu wysłanego z pośród kleru wileńskiego! Niech nam wskaże chociażby jednego z księży Polaków*), pracującego piórem w dziedzinie religijno-oświatowej! Czekamy i prosimy.

Braku argumentów nie zastąpi tu nadmiar pewności siebie, czego p. S. Jaksowi nigdy nie brakowało. Odsądzając innych od kultury, zapomniiał tylko sędzia, jak to sam swą prawdziwą niekulturalność publicznie zademonstrował w Petersburgu na ingresie arcybiskupa Roppa i w Wilnie na placu Łukiskim (załatwianie rachunków osobistym z klerikiem Smulką). Ima się tedy p. S. Jaks innego zgoła sposobu dowodzenia, dobrze znanego pod nazwą nieco trywialną *przewracania kota do góry ogonem*.

Otoż próbki tej argumentacji! Skoro tak dobrze rzecz się ma z wykształceniem księży Litwinów, po-

*) Mamy, rzecz prosta, na myśli kler polski na Litwie i Białorusi!

cóż było im zanosić skargi do Rzymu i Petersburga? Tu p. S. Jaks udaje zadowolenie z powodu niby to otrzymanych w ten sposób od nas „dość cennych wskazówek i argumentów przeciw sobie”. Czy ma rację? O ile nas pamięć nie myli, wśród różnych zanoszonych do Rzymu skarg, nie figurowała *nigdy* skarga na jawne uposledzenie Litwinów w sprawie dopuszczania ich do wyższych studjów teologicznych. Litwini jednak wyższe wykształcenie zawdzięczali i zawdzięczają nie pomocy polskiej, materialnej lub moralnej, lecz *wyłącznie* dwom rzeczom: *swej pracowitości i samopomocy ze strony ogółu litewskiego*. Wolno Polakom czynić to samo. Dlatego Polacy, którzy już oddawna patrzą okiem nie zbyt chętnem na studja uniwersyteckie Litwinów, a dziś gotowi ukuć nowy zarzut przeciw biskupowi Matulewiczowi, nie mają *żadnego* tytułu do oczekiwania od nich jakiejś wdzięczności za to, do czego się wcale nie przyczynili.

Dalej faktem jest że ani w Ameryce, ani w Litwie, nie słyszemy o istnieniu wśród Litwinów jakichś hodowców litewskich tem mniej o ich parafjach. Co się tyczy pracy misyjnej w Rosji, to bez różnicy i dawniej i teraz, wśród pracowników Kościoła na jej obszarach nigdy nie zbywało na Litwinach. Z nazwiskami litewskimi wśród księży, spotkasz się w Moskwie, w Petersburgu, na dalekiej Syberji...

Nie potrzebuje nas pouczać p. S. Jaks, że Tułaba i Hrynkiewicz nie są rodowitymi Polakami, chociaż z drugiej strony bardzo ciekawiśmy wiedzieć, w czym nasz oponent upatruje dziś ich litewskość? Rzeczą znamionną jest, że marjawici u nas trwają dalej, mimo upadku Lubimowych i Wierowkinych, a nastania rządów polskich i znajdują w polskim Wilnie garstkę wiernych wśród ostatecznie wykołojonych dewotek. Zresztą mniejsza o to, kto przyniósł na Litwę zarazę herezji odszczepieństwa, nierównie ważniejszym jest, *kto* stworzył marjawityzm i *skąd* on przybył do nas, a co do tego dwóch zdań być nie może.

Nie przeraża nas bynajmniej myśl, że polska kultura mogłaby marszałkować w kraju naszym, jeśliby nie była tylko zbrukana przez różnych Obstaw, świeckich i duchownych. Tymczasem jednak dużo grzeszyła ona zanudzając bardziej krytycznego czytelnika pism endeckich raz pychą i chwałbą siebie, rażąco odbijającą od stanu rzeczy — niezliczonych *Józefuoweczek* w mieście i plugów drewnianych na wsi podwileńskiej, powtórę przedziwną predylekcją do walki z chimeryczną, fantastyczną, sztuczną, nieistniejącą, ... Białorusią.

Zaiste osobliwy tytuł do wielkich zasług.

as.

„Administratiwnym poriadkom“.

Czytamy w „Kurjerze Polskim“:

„Nieszczerość i wprowadzanie w błąd własnego społeczeństwa, które należą do systemu obecnego rządu, święcą prawdziwe orgje w sprawie Metropolity Szeptyckiego. Ktokolwiek odczytał uważnie „wyjaśnienia” p. Głabińskiego w tej sprawie, musiał odnieść wrażenie, 1) że rząd dzisiejszy w trosce o spokój i bezpieczeństwo publiczne we Lwowie cofnął dane przez rząd poprzedni Metropolicie pozwolenie na powrót, 2) że mimo to poseł u Watykanu, p. Skrzyń-

ski, udzielił Metropolicie wiza na jazdę do kraju i 3) że Watykan zgodnie z rządem polskim był tej podróży przeciwny.

Wszystko to jest nieprawda. Rząd obecny pozwolenia nie cofnął, udzielona więc przez p. Władysława Skrzyńskiego wiza była najzupełniej w porządku, a Kurja na zasadzie osiągniętego porozumienia co do warunków powrotu Metropolity na ten powrót się zgodziła. Na tej też zasadzie Metropolita Szeptycki przyjechał już przed paru tygodniami do Wiednia i wybierał się w dalszą drogę do kraju. Tymczasem wśród pewnej specjalnej kategorii ludzi, których możnaby nazwać emerytowanymi obrońcami Lwowa i którzy po odparciu najazdu z przed lat blisko czterech pozbawieni są innego zajęcia, uderzono na alarm i p. minister wyznań wyznań religijnych skłonił rząd do nagłej zmiany kursu. Poselstwo polskie w Wiedniu otrzymało polecenie, ażeby „wszelkiemi środkami” starało się nie puścić Metropolity w dalszą drogę. Ponieważ poselstwo nietylko „wszelkich”, ale wogóle żadnych nie posiadało środków legalnych do wykonania tego kozackiego polecenia w obcym kraju, nie mogło więc przeszkodzić wyjazdowi Metropolity, zwłaszcza, że władze kościelne stały dalej na stanowisku osiągniętego w tej sprawie z rządem polskim porozumienia. A ponieważ termin ważności wiza upływał, przeto Szeptycki, który w Wiedniu ciężko zaniemógł i leżał w szpitalu, kazał się zawieść do wozu na dworzec kolei północnej i wnieść do wagonu sypialnego. Co dalej nastąpiło, wiadomo. Oburzenie podróżnych, między którymi znajdowali się cudzoziemcy, na dokonane wedle najlepszych rosyjskich wzorów wyrzucenie ich z wagonu sypialnego, jest zrozumiałe i będzie dla rządu o tyle kosztowne, że Towarzystwo Wagonów Sypialnych wystąpić ma ze skargą przeciw skarbowi państwa o zwrot szkody.

Cała ta historia należy do najsmutniejszych epizodów systemu, pod którego rządami smutnych epizodów doprawdy nie brakło. W pierwszorzędnej kwestji politycznej, w której zaangażowane są nasze wewnętrzne interesa państwowe i ważne zewnętrzne względy kościelno-polityczne improwizacje tego rodzaju, zmienianie zasadniczych postanowień pod wpływem pierwszej lepszej pogroźki, ośmiesza państwo i jego organa. Incydent z Szeptyckim jest klasycznym przykładem bezprzykładnego politycznego dyletantyzmu i niezdolności rządu, którego widowisko daje światu narodowa demokracja po dorwaniu się do władzy”.

* * *

P. A. Laskowski w dziełku „Biskup Krasieński na wygnaniu” tak opisuje przebieg jego aresztowania:

„W Dyneburgu należało przejść do innego pociągu, odchodzącego na Rygę do Kemmern, to też gdy biskup wstał, by wyjść z wagonu jeden z oficerów żandarmerji stanął we drzwiach i oświadczył, iż w imieniu prawa ks. biskup jest aresztowany i opuścić wagonu sam nie może oraz uda się dalej tym samym pociągiem do Pskowa”. Działo się to w r. 1863, czyli akurat 60 lat temu.

Co za uderzające a znamienne podobieństwo między zajściem w Dyneburgu a obecnem w Dziezdicach!

Biskup Krasieński w oczach ówczesnego rządu, w opinii Katkowych i Komarowych uchodził niewątpliwie za zdrajcę państwa i zbrodniarza stanu i to

wystarczyło Murawjewowi do zastosowania względem niego wyjątkowej represji. Analogicznie rozumują dziś ministrowie Kiernik i Głabiński wspólnie ze swymi doradcami Zamorskim i Strońskim, z tą jedynie różnicą, że Murawjew nienawidził katolicyzm, ministrowie zaś polscy reprezentują rząd katolicki...

Bibliografia.

Rok 1863. Wyroki śmierci. (Wileńskie źródła archiwalne). Wydane pod redakcją Wacława Studnickiego. Nakładem i drukiem Ludwika Chomińskiego w Wilnie. Wilno. 1923.

Do czasu wojny na wypadki 63 r. zwłaszcza w Litwie, patrzyliśmy przeważnie przez pryzmat legendy, której ze względów pedagogiczno-narodowych nie dotykał skalpel historyka polskiego. Obecnie ze zmianą warunków czas już wielki przystąpić do analizy i oceny powstania bez żadnych ubocznych względów jedynie powodując się pragnieniem wykrycia prawdy. Do tego zaś niezbędnym jest przede wszystkim zbadanie i ogłoszenie wszelkich dokumentów i źródeł historycznych z owej epoki, dotychczas mało albo całkiem nieznanymi.

Dobłą więc myśl miał p. Wacław Studnicki, wydając drukiem „Spis przestępców politycznych, skazanych w guberniach: Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej, Mohylońskiej i Augustowskiej, od czasu wybuchu (*sic!*) na Litwie powstania, do 1-go października 1864 r.“ na podstawie rękopisu rosyjskiego, znajdującego się w Archiwum państwowym w Wilnie. Ogólna ilość straconych na mocy wyroków sądów wojennych wynosi 180, w tem jednak kilku żołnierzy, skazanych na śmierć za pospolite zbrodnie, nie mające nic wspólnego z akcją polityczną. Kilkanaście wyroków śmierci przypada na część łomżyńską b. gub. Augustowskiej, nie mającą nic wspólnego z Litwą ani historyczną ani etnograficzną, ściśle więc ilość rozstrzelanych i powieszonych na terenie W. Ks. Litewskiego za udział w powstaniu wynosi 160.

Lista zawiera nazwiska o brzmieniu polskim, litewskim, białoruskim, rosyjskim i niemieckim. Wśród ofiar są katolicy, prawosławni, protestanci i żydzi; szlachta, mieszczaństwo, włościanie, księża i wojskowi. Słowem wszystkie stany, narodowości i wyznania złożyły się na tę hekatombę ideową. Przypisy, które wydawca zaopatrzył suchy spis urzędowy nazwisk, podają niektóre szczegóły biograficzne skazanych na śmierć na podstawie również źródeł urzędowych, pomijają natomiast przebieg przewodu sądowego i śledztwa, co ma być uwzględnione w następnych zeszytach.

Wielką szkoda, bo dopiero mając cały materiał przed oczami, można będzie poddać gruntownej analizie działalność zarówno uczestników powstania, jak i administracji i sądów rosyjskich. Dla charakterystyki skazanych dane, zawarte w obecnym zeszycie, są stanowczo niedostateczne.

Żałować również wypada, że wydawnictwo nie posiada ściśle naukowego charakteru. Uwagi wydawcy zbyt często są nacechowane wyraźną tendencją polityczną i rażą swą naiwnością. Wstęp zawiera całkiem zbyteczną relację o zasługach p. Wacława Studnickiego w sprawie postawienia krzyża na

grobach powstańców za czasów okupacji niemieckiej, a już wprost niesmaczną jest w wydawnictwie tego rodzaju reklamarska wzmianka o poglądach politycznych tegoż pana Studnickiego.

Język, styl, pisownia i korekta pozostawiają wiele do życzenia. Kształt książki w formie koperty kancelaryjnej, nie należy również do pomysłów szczęśliwych. Wogóle wydawnictwo czyni wrażenie za mało poważnego w stosunku do tytułu i tematu.

a.

Krywicz („Krywič“). Miesięcznik literatury, kultury i hramadzkażo życia. Kowno. 1923 №№ 1—2 (czerwiec i lipiec).

Po złożeniu efektownej, ale nierealnej godności prezesa ministrów Białoruskiej Republiki Ludowej, p. Wacław Łastowski znowu odnalazł siebie i rozpoczął w Kownie wydawnictwo miesięcznika „Krywicz“, z którego tu mamy zdać sprawozdanie. Nowy organ zakrojony jest na szeroką skalę — chciałby, nawet, ile można, dorównać zagranicznym *Monatschriften i revues*. Początki trudne, ale nie beznadziejne. Istotnie bowiem udało się redaktorom zebrać materiał obfity, a ciekawy i umiejętnie go opracować. Na pierwszym miejscu „Krywicz“ podaje najnowsze wiersze p. Łastowskiego, zalecające się bogactwem języka i dużą siłą wyrazu; dział literacki, zawiera rzeczy oryginalne i tłumaczone (z japońskiego, z modnego dziś Tagora, z Hauptmana), apokryf z papierów pośmiertnych przedwcześnie zmarłego, a bardzo zdolnego poety Maksyma Bahdanowicza oraz różne obrazki z życia i ze świata fantazji i in. Aktualnym zawsze ze względu na temat jest artykuł, raczej szkic historyczno-krytyczny, rozważający nazwy *Gudy, Krywicze, Ruś*. Drugi znowu daje nader ciekawe tłumaczenie pochodzenia nazwy *lisowczyków*.

J. B. przytacza w swym artykuliku garść szczegółów o pobycie Hieronima Praskiego w r. 1413 na Białorusi i naogół o wpływie czeskim na ukazanie się biblii białoruskiej. Cerkiewno-parafjalna przeszłość szpitali mohylewskich w XVI — XVIII w. stanowi treść następnej notatki.

P. Klaudjusz Duż-Duszewski dał kilka wartościowych artykułów, opartych na statystyce, jak np. „*Biełaruś i wodka*“ i „*Dawajenny budżet Biełarusi*“.

Słowem znalazły w miesięczniku swe miejsce przyczynki historyczne, lingwistyczne, statystyczne. Oprócz tego każdy numer zawiera: „*Zapiski*“ (pierwszym chrzestnym imieniem Jagielly miało być nie Jakub, lecz Jan; istnieją do dziś dnia szczątki Białorusinów i cerkiew obrządku wschodniego we Wschodnich Prusach; irlandcy sinnfeiniści w r. 1905 nawiązali kontakt z pionierami ruchu białoruskiego...) „*Ahład kulturnaho życia Biełarusi, Ahład presy; S pad Polszozy, S pad Rassii, S Łatwii, S Litwy, S Ameryki; Bibliografija* (omawia też białoruskie wydawnictwa w Berlinie) i jako materiał do dyskusji, przyczynki do *terminologii* naukowej.

Dobre robi wrażenie częste podkreślanie przez wydawców pojęcia Białorusi Zachodniej. Miesięcznik ma pomysłową a stylizowaną winjetę. Papier zeszytu niezły, druk czysty, korekta zaś staranna.

Podpisują go jako redaktorzy — W. Łastowski i K. Duż-Duszewski.

Krywicz jest tedy wymownym dowodem pracy Białorusinów kowieńskich nad pomnażaniem wartości duchowych swego narodu.

Ad. Sołoduch.

Badania etnograficzne we Wschodniej Białorusi.

„Nasz Ściah” w № 21 podaje ciekawe szczegóły o pracach białoruskiej ekspedycji etnograficznej na terenie Sowieckiej Białorusi.

Pierwszą wycieczkę, która trwała od 8 po 19 maja, ekspedycja przedsięwzięła do powiatu Ihumeńskiego. W tak krótkim stosunkowo czasie dokonano 75 zdjęć fotograficznych krajobrazów, typów ludowych, budynków, sprzętów i t. p. Zdobyto przeszło 300 okazów etnograficznych, w tej liczbie sporo rozmaitych tkanin, wśród których kilka nader artystycznej roboty; kolekcja pasków wynosi około 40 sztuk, wprawdzie paski są wąziutkie i nie zbyt kolorowe. Z instrumentów muzycznych udało się nabyć jedynie cymbały, kilka dudka i trąb pastuszych. Z cmentarzy zebrano fartuszki ciekawe ze względu na swój oryginalny ornament.

Prócz gromadzenia okazów ekspedycja interesowała się medycyną ludową, czyniła poszukiwania geograficzne, badała nazwy miejscowości i t. p. Folklorowi poświęcono względnie mało uwagi wobec braku czasu i rozmaitych przeszkód.

Zasługą ekspedycji jest po raz pierwszy dokładne ustalenie źródeł Niemna i Łoszy. Obie rzeki wypływają z jednej krynicy koło wsi Podpiarki i dążą na razie w przeciwnie strony rowem, wykopanym nie-

gdys przez któregoś Radziwiłła. O tych źródłach wśród miejscowej ludności przechowały się rozmaite podania. Jedno z nich głosi co następuje:

„Niemen i Łosza, które wypływały z jednej krynicy, posprzeczały się z sobą, kto komu winien się pierwszy pokłonić. Po obiedzie Niemen i Łosza ułożyli się na wzgórze na spoczynek. Łosza obudziła się pierwsza i pocichu pobiegła zieloną łąką, kryjąc się wśród bagien i rojstów. Obudził się Niemen i widzi, że Łoszy niema. Wstał tedy Niemen, wyprostował się i pomknął przez lasy i łąki wyprzedzając daleko Łoszę. Wybiegła Łosza z zarośli i bagien, wchłonawszy w siebie mnóstwo strumieni, patrzy, aż Niemen toczy swe wody daleko przed nią. I musiała Łosza pokłonić się Niemnowi, wlewając swe wody do burzliwego Niemna”.

Praca ekspedycji etnograficznej urwała się w Uzdzie, gdzie się popsuł aparat fotograficzny, dzięki czemu musiano zaniechać zdjęć typów białoruskich Tatarów oraz ich wyrobów garbarskich.

Stosunek ludności do ekspedycji nie wszędzie był przyjazny. W niektórych wioskach, np. w Dauhinczach włościanie wykazali taką podejrzliwość względem badaczy, że nikt nie chciał niczego ani pokazać ani sprzedać, a nawet zamierzano ekspedycję zaaresztować i odesłać do Mińska. Wyniki tej pierwszej wycieczki naukowej są obecnie opracowywane i mają się ukazać w druku.

ANTYKWARIAT NAUKOWY

przy Księgarni Stowarzyszenia
Nauczycielstwa Polskiego
b. „Kultura“ Wileńska 36

kupuje i sprzedaje książki, ryciny i rękopisy

Treść numeru: Hokus, pokus... — *Latovicus*. Pouczające analogje. — *as*. Pod nową maską. — „Administratiwnym pariadkom“. — Bibliografja. — Badania etnograficzne we Wschodniej Białorusi. — Odcinek. *Jadźwing*. Odrębności prawosławja na Litwie i Białorusi.